

stwa, nieuczciwości po jednej i po drugiej stronie historycznej linii podziału kraju.

Gdy stabilizuje się nieco sytuacja w kraju, autor poświęca jej nieco mniej miejsca w „Dzienniku”. Niemniej interesuje go Lech Wałęsa, najpierw jako kandydat na prezydenta, potem już jako pełniący ten obowiązek. Coraz częściej skupia się na zapisywaniu spraw i problemów rodzinnych, tudzież na własnej drodze duchowej. Owe wątki będą w zasadzie już cały czas, do marca 1993 roku, gościć w książce bardzo obszernie i szczegółowo. Żona i dwaj synowie są bezpiecznikami dla Kazimierza Brakonieckiego, kiedy po wielu godzinach pracy w olsztyńskim Biurze Wystaw Artystycznych wraca do domu, czy raczej swojego małego pokoiku, w którym na biurku stoi już kolejna maszyna do pisania. Ów pokój pisarz otrzymuje od państwa i... żony, ponieważ to jej przysługuje dodatkowe pomieszczenie w mieszkaniu z racji wykonywanego zawodu. Przychodzą soboty, podczas których to on sprząta. Gdzieś w zapiskach, wcale nie obok informacji o porządkach, czytelnik znajduje, że Brakoniecki dzieli wraz z wieloma innymi literatami pewną neurastenię, która może mieć związek z sobotnimi obowiązkami. Chodzi o potrzebę ogarnięcia najbliższego otoczenia, w którym następuje proces tworzenia. Autor chyba nie wspomina o tym drugi raz. Być może rodzina jest mu w stanie zapewnić w tej, przecież wcale nie tak niezwykłej sprawie, komfort emocjonalny. Hanna Brakoniecka zdaje się być żoną i matką spełnioną, kochaną, docenianą. Ostatnie określenie jest tym bardziej właściwe, ponieważ poeta wielokrotnie zdaje sobie sprawę ze swojej uciążliwości, nie tylko wynikającej z wykonywanego zawodu, charakteru pracy, miłości do poezji, uczenia się języków obcych, zainteresowań, ale i odziedziczonych cech osobowych, depresyjnego charakteru, wrażliwości, deficytów, neurastenicznych wymagań w stosunku do otoczenia i środowiska. Czytelnik jest w stanie doskonale ocenić, na czym polegają owe skłonności i predyspozycje, gdy Kazimierz Brakoniecki opisuje swoje relacje z ojcem. Jednak gwoli utrzymania pewnej ciągłości historii rodziny nie można pozostawić bez słowa wielkiej wiedzy autora o przeszłości i pochodzeniu swoich krewnych. Są to niezwykle ciekawe „rozdziały”, które pojawiają się w tekście jakby przy okazji spotkań rodzinnych, odwiedzin, być może niezależnych rozmów Brakonieckiego z żoną. Autor dociera do skomplikowanej przeszłości rodziców i teściów. Opisuje ją dokładnie. Przewijają się nazwiska i nazwy miejscowości. Gdzieś w tym współbrzmii zainteresowanie poety wielonarodowością Warmii i Mazur, migracjami, wielokulturowością, historycznymi zmianami, odniesieniami do innych regionów Polski i samego regionu, który jawi się jako bardzo płynny, bez granic...

Swojej poezji autor poświęca mniej miejsca, niż można by tego oczekiwać. Pisze o problemach z wydawnictwami, drukiem, sprzedażą, księgarniami, czasopismami kulturalnymi i literackimi. Cieszy się niespodziankami: ukazaniem się kolejnych tomików, publikowaniem w prasie, nagrodami. Wielką

wagę przywiązuje do niemożności tworzenia, zwłaszcza, gdy te okresy są zbyt długie, wręcz się złości, zastanawia się nad powodami i skutkami, czasami rozpatruje to logicznie, innymi razem depresyjnie, emocjonalnie. Czytelnik wie, że Kazimierz Brakoniecki poradził sobie z tymi problemami. Pokazują to biografy, notki biograficzne, blurby na okładkach jego tomików poetyckich i książek prozatorskich, lata wydawania poszczególnych pozycji. Wiele za to zapisków odzwierciedla drogę duchową. Chyba wiąże się to z postacią ojca. Nieco dyktatorskiego, więcej autokratycznego, mającego problemy z alkoholem i własną emocjonalnością. Stąd niechęć do religijnej patriarchalności, rozwodzenie się nad stosunkiem Syn-Ojciec w chrześcijaństwie, fascynacja twórczością i postawą żydówki, który odrzucił judaizm – Simone Weil. Wiele jest w „Dzienniku” filozoficznego rozprawiania. Brakoniecki próbuje zrozumieć świat, własne postawy. Dużo czyta oczywiście o religijności. Zamieszcza znaczące dla niego cytaty. Jakby chciał sięgać, przypominać sobie, ciągle podkreślać, otoczył się tezami, które nie odgradzą go od przaiśnej rzeczywistości, lecz pomogą przez nią przejść bez szwanku, z duszą i sercem jakby z boku. Wiele w tym emocjonalności i żarliwości, ale i naukowego podejścia. Pomaga nie tylko literatura. Jeździ, chodzi, wędruje, roweruje na rowerzy. Tak, Brakoniecki lubi innowacje językowe, neologizmy. Znamy światologię i światowanie (chyba nie od „światować”? ). O rowerzy pięknie sam autor opowiada, ale nie w książce. Trochę jest w tym czułości, choć nie tyle, co w przepięknie zmienionym imieniu żony „Ko-Hanka”. Wyprawy po regionie, najpierw samotne, potem z jednym z synów, to obszernie zapiski o architekturze, historii, trochę przyrodzie, krajobrazie. Kolejny dowód na serdeczny stosunek do rodzinnego miejsca, co przecież za chwilę zmaterializuje się niezwykle ważnym projektem, istniejącym ciągle, czyli Stowarzyszeniu „Borussia”! Podróże Brakonieckiego nie kończą się na regionie. Raczej zaczynają. Pracując w BWA jeździ po Polsce, zarabiając własną inicjatywą, przygotowując wystawy malarzy i rzeźbiarzy. Do opisów miejsc dołączane są wówczas charakterystyki artystów i niektórych ich dzieł. Nieco dalsze wyprawy to zagranica. Litwa, Berlin Zachodni, Francja i w końcu Kanada, gdzie mieszka jego brat. Siostry, mieszkającej w Australii, do 1993 nie odwiedził. Warto zwrócić uwagę, że przygoda z Francją, a raczej Bretanią, co zainicjowało działalność Centrum Polsko-Francuskiego Côtes d’Armor – Warmia i Mazury, miała swój prapoczątek w nauce języka francuskiego w tym małym pokoiku na czwartym piętrze socjalistycznego bloku z wielkiej płyty.

Kazimierz Brakoniecki przez wiele lat pisze dzienniki. Ponoć niektóre nie zostały zachowane. Pisany jest także odrębny dziennik rodzinny, w którym Ko-Hanka i synowie notują swoje refleksje, nastroje, emocje, reakcje na aktualne wydarzenia. Jeden z synów prowadzi odrębny pamiętnik. W tym czasie ewoluuje Olsztyn, środowisko literackie, kulturalne, artystyczne, zmieniają się zarobki i

warunki pracy. Powstają kolejne inicjatywy, które obecnie muszą się mocno przeorganizować, bo państwo obcina dofinansowanie. Nie wydawane jest już z tego powodu pismo „Borussia: Kultura. Historia. Literatura”. Poeta bierze udział w kolejnych inicjatywach, jak choćby „Masovia: Pismo poświęcone dziedzictwu kulturowemu Mazur”, które ponoć także ma trudności. „Dziennik olsztyński 1989-1993” jest świadectwem początków i zmian. Także zmian w stosunku do własnej kultury regionu Warmii i Mazur. Świadectwem miejsca poety i jego obowiązku do środowiska, w którym tworzy.

Kazimierza Brakonieckiego miastem rodzinnym jest Olsztyn, ale urodził się w Barczewie. W „Dzienniku” wspomina historię znajomości z Winfriedem Lipscherem, także tam urodzonym. Tłumaczem, uczestnikiem działań na rzecz porozumienia i współpracy polsko-niemieckiej, także inicjatyw Stowarzyszenia im. Arno Holza dla Porozumienia Polsko-Niemieckiego w Kętrzynie. „List od Winfrieda Lipschera z 17 X: «Drogi Panie, (...) Ogorownie się cieszę, że Pana poznałem. Dwóch »Barzczewianinów« z dwóch odrębnych światów, ale potrafiących się bardzo szybko dogadać. A to jest ważne. Liczą się wymiary ludzkiego serca, a nie obywatelstwo, narodowość lub ustrój»», [3].

**Jerzy Lengauer**

[1] Kazimierz Brakoniecki, „Dziennik olsztyński 1989-1993”, Convivo, 2022, s. 5.

[2] Tamże, s.17.

[3] Tamże, s. 41.



Rys. Barbara Medajska